

Mój Chatwin. W dwudziestą rocznicę śmierci pisarza (Bruce Chatwin 1940-1989).

Izabela Jarosińska

Przechadzki

Izabela JAROSIŃSKA

Mój Chatwin.

W dwudziestą rocznicę śmierci pisarza
(Bruce Chatwin 1940-1989)

Już za życia został – niech mi wybaczy to określenie – pisarzem kultowym. Napisano też o nim mnóstwo głupstw, których nie warto komentować. Przeczytałam wszystkie przetłumaczone na język polski książki, co nie znaczy, że przeczytałam wszystko, co napisał. Znam tylko trzy jego fotografie, z których nie sposób niczego zrekonstruować, tak są różne. Zresztą niech mnie Bóg broni przed tak zwaną rekonstrukcją osobowości lub portretem psychologicznym, co to – to nie. Wystarczy dla porządku odnotować, że był na pewno bardzo przystojny. Nie dożył pięćdziesiątki. Co zatem może łączyć tego błyskotliwego podróżnika, ulubieńca bogów i ludzi ze mną, prostą kobieciną dożywającą swoich dni daleko od egzotycznych szlaków, w Polsce, czyli nigdzie? Opowiem, zachęcona przez Chatwina, że każda opowieść jest ważna.

Oszklona szafa

Początek przygód da się ściśle zlokalizować:

W jadalni mojej babki stała oszklona komoda, a w niej leżał kawałek skóry. Niewielki, lecz gruby i twardy jak podeszwa, pokryty był kłakami szorstkich rudawych włosów i zaopatrzony w przybitą zardzewiałą pinezką tabliczkę zapisaną wyblakłym czarnym atramentem. [...]

– Co to jest?

– Kawałek brontozaura.

To pierwszy akapit pierwszej książki Chatwina, *W Patagoni*, powstałej – jak głosi legenda – dzięki decyzji o porzuceniu prestiżowej i intratnej posady w Londynie i wyruszeniu w świat, na początek po dalszy ciąg skóry prehistorycznego zwierza.

„Babka mieszkała w domu z czerwonej cegły, ukrytym za szpalerem upstrzonych na żółto krzewów wawrzynu. Dom miał wysokie kominy, dach ze spiczastymi szczytami, a w ogrodzie rosły krwistoczerwone róże”. Mój Boże, co mi się przypomina? Już wiem:

W bawialnym pokoju radcostwa, zaraz na lewo od drzwi wejściowych, pod szeroką ścianą stoi oszklona szafa; w szafie tej dzieci przechowują wszystkie prześliczne rzeczy, które co roku dostają. [...] Szafa miała tak jasne szyby i w ogóle była tak kunsztownie zrobiona, że wszystko w niej wyglądało jeszcze ładniej niż w ręce. (E.T.A. Hoffmann, *Historia o dziadku do orzechów i o królu myszy*)

No właśnie, od co najmniej 1820 roku wiadomo, że oszklone szafy w zacnych mieszczańskich domach kryją cuda i dziwy. Też mam o tym coś do powiedzenia.

„Całe moje życie było poszukiwaniem cudowności”, napisze Chatwin w tekście *Na tropie yeti* z 1983 roku. To szczególnie ważny dla mnie tekst. Zaraz bowiem na początku pada takie oto zdanie: „Od kiedy pamiętam, chciałem wędrować dolinami Mount Everestu, a w dzieciństwie poszedłem na ilustrowany przezrociami wykład o wyprawie Hillary’ego i Tenzinga”. Otóż rzecz polega na tym, że w paradnym pokoju mieszkania na Saskiej Kępie, gdzie spędziłam pierwszych – najlepszych! – 25 lat mojego życia, stała na wprost drzwi piękna oszklona (a szkło było kunsztownie szlifowane) szafa z wiśniowego drzewa, w której też mieszkały największe cuda świata, czyli książki. Z jednego boku szafa nie dotykała ściany, dzięki czemu powstał kąt, do którego posyłano mnie za różne liczne przewinienia. Stojąc tak w tym kącie zawsze chciałam skrócić sobie okres kary czytaniem, ale drzwi szafy skrzypiały w sposób tyleż głośny co charakterystyczny, przywabiając kogoś z Rodziców. W środkowej części tej biblioteki znajdował się bezcenny księgozbiór taternicko-alpinistyczny mojego Taty (zob. hasło Szubert Leon w *Wielkiej Encyklopedii Tatrzeńskiej* państwa Paryskich), który wówczas, czyli w okolicach 1953 roku, pasjonował się zdobyciem Everestu. Zdjęcia Hillary’ego i Tenzinga, z solennymi autografami, patrzyły na mnie przez szyby i budowały jakąś osobliwą solidarność między nami. Wiedziałam, że odbywam karę w dobrym towarzystwie.

A z tą cudownością to jednak wychodzi u Chatwina jakoś dziwnie i przewrotnie. Bo co można znaleźć na szlaku w poszukiwaniu straconego brontozaura? No, na przykład gliniane mopsy po obu stronach kominka u Wallijczyków, albo Szkota w kilcie, skądinąd właściciela stada złożonego z trzech tysięcy owiec, albo „Grządki ziół, spryskiwacze trawników, kosze z owocami, cieplarnie, kanapki z ogórkiem, oprawione roczniki «Country Life» i – przy pewnej dozie szczęścia – wizytującego arcybiskupa” na farmie u Brytyjczyków. W Patagonii, gdzie miejsca starczy dla wszystkich, można też spotkać Litwina, lat osiemdziesiąt z okładem, który odżywia się barszczem (tylko skąd ma buraki?), a jeździ moskwie-

Przechadzki

czem, oraz zakładającą ogrody w Ziemi Ognistej siwą Angielkę, która zachowała sobie jedną długą suknię wieczorową, bo „nigdy nie wiadomo, gdzie człowiek wylądaje”. I tak dalej, i tak dalej.

Czyżby więc ta „komiczna wyprawa” była kolejną wersją podróży do krainy Oz? I czy morał z niej jest taki, że prawdziwa cudowność mieści się, jak dawniej, w oszklonych szafach, trzeba tylko przykleić nos do szyby?

Notes

Przyjechałem do Australii, by dowiedzieć się osobiście, a nie z książek, czym jest Pieśń Stworzenia i jak działa. [...] W Adelaide zapytałem przyjaciółkę, czy mogłaby mi polecić kogoś, kto się na tym zna, a ona dała mi telefon do Arkadego.

– Czy mogę robić notatki? – spytałem.

– Proszę bardzo.

Wyjąłem z kieszeni czarny, oprawiony w imitację skóry notes, którego kartki przytrzymywała gumka.

– Ładny notes – zauważył

– Kupiony w Paryżu – powiedziałem. – Teraz takich nie robią.

– W Paryżu? – powtórzył, unosząc brew, jakby uważał to za bardzo pretensjonalne.

Tak to *n o t e s* wkracza od frontu do ostatniej książki Chatwina, i trzeba powiedzieć: w samą porę. Ta rozmowa ma miejsce zaraz na początku opowieści, w trzecim rozdziale. Zaś w rozdziale trzydziestym pojawia się mimochodem, *n i b y* mimochodem przecież, jego, *n o t e s u*, historia – stając się początkiem legendy. W skrócie historia ta przedstawia się następująco: owe notesy Chatwin kupował rzeczywiście w Paryżu, w pewnej papeterii w samym sercu Dzielnicy Łacińskiej. Po francusku nazywają się one *carnets moleskines* – a co to znaczy, opowiem. Że *carnet* to notatnik, objaśniać nie trzeba, ale co z drugim członem, który rychło usamodzielniał się i został nazwą? Wielki słownik francusko-polski jest równie stanowczy, jak autor nieśmiertelnej definicji. „Koń jaki jest, każdy widzi”, bo wedle tego dykcjonarza *moleskine* to moleskin. Ale już Petit Robert przynosi ulgę. Odnotowuje bowiem pojawienie się tego słowa w roku 1857, wyjaśnia je (cierpliwości!) oraz cytuje użycia u Zoli (oczywiście) i Pola Valéry. Zatem *moleskine* to po prostu tkanina bawełniana (czyli kreton), powleczone matowym lub błyszczącym podkładem, imitującym skórę. Nieoceniony *Słownik wyrazów obcych* Michała Arcta z 1934 roku (pamiętka rodzinna) stawia nareszcie brakującą kropkę na i: „Moleskin – miękki, gęsty barchan strzyżony, używany pod ceratę”, wywodząc zresztą to słowo od angielskiego prażródła: *mole-skin*, czyli skóra kreta. Uff.

Kiedy więc przed wyjazdem do Australii w roku 1986 Chatwin poszedł na l’Ancienne Comédie po świeży zapas, dowiedział się, że właściciel małej rodzinnej firmy z Tours, gdzie je wyrabiano umarł, a spadkobiercy ją sprzedali. „*N i e m a j u ż p r a w d z i w y c h m o l e s k i n ó w*”, powiedziała z żalem pani z papeterii, sprzedając Chatwinowi wszystkie, jakie jej zostały. Australijski Rosjanin nie miał prawa w tym miejscu unosić brwi.

Mam taki notes. Rozmiaru kieszonkowego, 9 x 14 cm (a są i większe, 13 x 21), przepisowo czarny, z przepisową gumką. Mój ma papier w kratkę. Dziś notesy są szczerlnie owinięte folią, przez którą widać czerwoną banderolkę z napisem „MOLESKINE® Legendarny notes Hemingwaya, Picassa i Chatwina”. A po zdjęciu folii okazuje się, że na wewnętrznej stronie tylnej okładki znajduje się zmyślna kieszeń, a w niej ulotka w kilku językach, również po japońsku, informująca o tym, co wyżej oraz o dalszych dziejach n o t e s u. Okazuje się, że w 1998 roku, czyli 9 lat po śmierci Chatwina, a 11 od ogłoszenia światu końca n o t e s u, Moleskine wrócił, dzięki zrozumieniu, a też niebywale intuicji pewnego mediolańczyka. Bo niewątpliwie sława (i pokupność) tej rzeczy rośnie wraz z kultem pisarza. Za czym doszło do tego, że staroświecki notatnik, którym mógłby posługiwać się komisarz Maigret (gdyby robił notatki) stał się modnym gadżetem w 22 wariantach, nawet z papierem nutowym lub papierem do malowania akwarelami. Teraz dopiero ów Arkady miałby prawo wydziwiać. I nie trzeba już po ten notes jechać do Paryża, wystarczy do Arkadii. Tej warszawskiej.

Rosja

A właściwie Związek Radziecki, bo Chatwin nie dożył przemianowania. Ów kraj zatem (jak go zwał, tak go zwał) i jego pisarze pojawiają się bardzo często, chyba najczęściej, w różnych miejscach różnych książek Chatwina. W przeciwieństwie do jego kraju ojczystego. Bywa, że dla prowokacyjnego żartu (o, w tym zakresie Chatwin jest gotów na wszystko), jak w opowieści *Zamach* z 1984 roku, która jest właściwie gotowym scenariuszem filmowym o bliżej nieokreślonym prze-wrocie w jakimś państewku afrykańskim:

Nazajutrz około jedenastej czytałem smutną historię pani Marmieladowej w *Zbrodni i karze*, kiedy od strony koszar Gezo dobiegł łoskot wystrzałów. Wyrzałem przez okno na palmy, jastrzębie, kobietę sprzedającą mango i zakonnice wychodzącą z klasztoru.

Kilka sekund później stragan z owocami przewrócił się, zakonnica uciekła, a ulicą przejechały z rykiem silników dwa wozy opancerzone.

Odkładając jednak na chwilę takie żarty, zastanawiam się, jakie mogło być źródło tego osobliwego stosunku Chatwina do Rosji i Rosjan. W Związku Radzieckim bywał on w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, a więc w epoce szczególnej fascynacji zachodnich intelektualistów i artystów tamtym krajem, czego pomnikiem jest do dziś słynny przebój Gilberta Bécaud *Nathalie*, poświęcony – co tu dziś ukrywać – przydzielonej mu funkcjonariuszce organów. Pozostanie na zawsze tajemnicą osobowości, wrażliwości i niezwykłego wycucia Chatwina jego sposób widzenia i opisywania tamtejszych wielkich spraw i drobnych realiów. Mimo że – paradoksalnie – miał wszystko ułatwione, będąc oficjalnie zapraszany ekspertem (lub akredytowanym dziennikarzem), dysponującym nieosiągalną wówczas „walutą”. A jednak nie dał się nabrać, choć skłonność do żartów nie opuszczała go prawie nigdy:

Przechadzki

Ostatniego wieczoru w Moskwie wybitny archeolog zaprosił nas na uzbecką ucztę. Jedyną potrawą była owca nadziewana ryżem, morelami i przyprawami. Wszyscy upili się winem, szampanem oraz, co gorsza, brandy. [...] Na placu boju pozostał tylko pijany czołowy archeolog w stalowoszarzym garniturze oraz jego siostra, która nie piła. Poprosiła mnie o wyrecytowanie czegoś z Shakespere'a. Wstałem.

(I tu następuje parę fragmentów z *Wieczoru Trzech Króli*, *Kupca weneckiego*, *Posromienia złośnicy* i *Króla Henryka Piątego*).

Anegdoty anegdotami, żaden podróżnik im się nie oprze. Dla mnie jednak najważniejsze są pewne maleńkie, jakby tylko w moją stronę skierowane porozumiewawcze mrugnięcia, w których rozpoznaję własne doświadczenia. Tak jest w cytowanym wyżej krótkim tekście o wizytach w najważniejszych muzeach Moskwy i Leningradu, gdzie pojawia się przelotna wzmianka, dosłownie jedna trzecia zdania o „skarbach z zamarzniętych grobów na Syberii” w Ermitażu.

Tak się złożyło, że naprawdę dobrze znam Ermitaż – i nawet pokazywałam go przybyszom z Polski, oficjalnym i prywatnym. Tych oficjalnych wprowadzałam z całą paradą owymi wspaniałymi schodami, znanymi nie tylko dzięki szturmowi na Pałac Zimowy, najkrótszą drogą do Rembrandta i Picassa. A prywatnych inaczej: od przejścia przez bramki w prawo, za muzealnym bufetem i sklepikami, przez jakieś zgoła nieparadne zaplecza ciągnęłam do ciemnego kąta, gdzie dopiero dla nas zapalano światło. To tu znajdują się owe skarby, czyli Altajskie kurhany sprzed pięciu tysięcy lat, odkryte tuż po drugiej wojnie światowej. Tu zmateriałowowało się to wszystko, co znałam z poetyckich wizji: wnętrze kurhanu, czyli pośmiertne mieszkanie wojownika, ogromny drewniany wóz, którym pojechał w zaświaty, uprzęż, precudnie wzorzyste jedwabne tkaniny, wreszcie świetnie i pięknie zachowane mumie człowieka i konia.

Albo z innej beczki. Przy omawianiu zbioru szkiców i reportaży Chatwina z różnych stron świata zatytułowanego *Co ja tu robię?*, często przytacza się jego relację o wizycie starej, schorowanej i zaniedbanej Nadzieży Mandelsztam, o prezentach, jakie jej przywiózł i o rozmowie o literaturze jak gdyby nigdy nic. Dla mnie jednak stokroć ważniejsze od szampana, kryminalów i dżemu pomarańczowego jest jedno z pierwszych zdań tego tekstu: „Kuchnia pachniała naftą i czerstwym chlebem”. A to dlatego, że jest to obraz pieczołowicie przeniesiony z jednego z moich ukochanych wierszy Osipa Mandelsztama, którego początek brzmi tak:

Posiedzimy sobie razem w kuchni.
Czysta nafta tak słodko cuchnie.
Ostry nóż, bochenek chleba spory...

(tłum. Maria Leśniewska)

Że nie wspomnę o tym „płynęliśmy przez step” ze wstrząsającej skądinąd relacji o rejsie statkiem „Maksym Gorki” Wołgą do Wołgogradu, czyli Stalingradu, z wycieczką wdów po poległych tam niemieckich oficerach. Chatwin znalazł sposób, by opowiedzieć o tym jak należy. Ale żeby też znał *Stepy akermzańskie*...

Lektury. Filozofia chodzenia. Tajemnica

Chwilami ma się wrażenie, że Bruce Chatwin zdążył przeczytać wszystko, choć różni mądrale zarzucają mu bufonadę, manię wielkości i mitomanię. Zostawmy ich. Wyłowię tylko kilka nazwisk pisarzy przywoływanych przez Chatwina wprost – oraz jedno, które ani razu nie pada, ale moim zdaniem jest niezbędne.

Więc przede wszystkim Rosjanie, ale to akurat jest z mojego punktu widzenia najmniej ciekawe, jako że stanowi obowiązkowy zestaw lektur wykształconego Europejczyka z drugiej połowy XX wieku: Czechow, Dostojewski, Puszkina, Lew Tołstoj, Turgieniew. Za to bardzo ciekawie prezentują się wybrani przedstawiciele literatury ojczystej pisarza: Szekspir (nie tylko cytowany po pijanemu w moskiewskim hotelu Metropol), Swift, Coleridge, Conan Doyle (*Zaginiony świat*), Kipling (*Człowiek, który chciał być królem*) i wreszcie – co dla mnie najważniejsze – Joseph Conrad.

Marnie jest z Francuzami; z imienia i nazwiska przywoływany jest tylko Saint-Exupéry (*Nocny lot*), ale szkic o André Malraux moim zdaniem wystarczy za znajomość całej literatury francuskiej. A tym niewymienionym jest kolejny mój faworyt, czyli Blaise Cendrars – ten od *Złota* i *Rumu* – którego duch i ucięta ręka unoszą się nad stylem i kolorytem Chatwinowskiej egzotyki. Oto próbka:

Pałac w Abomey miał wysokie mury z błota i krwi, ale bardzo niewiele drzwi. Znajdował się w odległości dwudziestu trzech tysięcy pięciuset dwóch bambusowych kijów od plaży. W samym środku kompleksu pałacowego mieszkał król z eunuchami i trzema setkami uzbrojonych kobiet. (Podkreślenie moje – I.J.)

Wreszcie nieładnie byłoby przemilczeć całe morze przeróżnych mniej lub bardziej autentycznych zaginionych rękopisów, dokumentów oraz archiwaliów, którymi z żonglerskim wdziękiem posługuje się nasz autor. Hańba temu, kto o tym źle pomyśli.

Zacytowana przed chwilą powieść *Wicekról Ouidah* prostą drogą prowadzi nas do Wernera Herzoga, który na jej podstawie nakręcił film *Cobra Verde*, z Klausem Kinsky'm w roli tytułowej, rzecz jasna. Kiedy jest mi bardzo smutno, staram się przez chwilę wyobrazić sobie tę trójkę – Chatwina, Herzoga i Kinky'ego – na planie tego filmu, co zresztą Chatwin po swojemu opisał. Tylko szkoda, że nie towarzyszą temu szkicowi (*Werner Herzog w Ghanie*) fotografie. Ale i bez nich przesładują mnie „arktyczne oczy” (to określenie Chatwina) Kinky'ego.

Nie wiem, jak to jest z Kinsky'm, ale Chatwinem i Herzogiem łączy mnie jeszcze jedna pasja: chodzenie, choć trzeba przyznać, że w moim przypadku to już mogą być zaledwie miejskie przechadzki. Lecz wypraszam sobie kąśliwe uwagi, że nie każdy, kto lubi chodzić, jest od razu Chatwinem lub Herzogiem. To kwestia nastawienia, a nie odległości. A poza tym: dlaczegóżby nie?

Chatwin po Patagonii podróżował pieszo. Zaś co do Herzoga, to słynna jest jego wędrówka z rodzinnego miasteczka do Paryża zimą 1974 roku, by „odegnać

Przechadzki

chorobę” od umierającej nestorki kina niemieckiego Lotte Eisner. Udało się. Chatwin cytuje zdecydowaną deklarację Herzoga: „Chodzenie jest cnotą, turystyka to grzech śmiertelny” oraz przekonanie Szerpów (znów Tenzing!), że „prawdziwym domem człowieka nie jest budynek, ale Droga, a życie to podróż, którą należy przejść na piechotę”. No właśnie.

I na koniec obiecana tajemnica. Kontrolujący wejście na prom do Ziemi Ognistej chilijski żołnierz „zawiesił – jak pisze Chatwin – nad moim paszportem starannie wypielęgnowane różowe paznokcie, zatrzymał się przy polskiej wizie, ale mnie przepuścił”. Kiedy i po co potrzebna było Chatwinowi polska wiza? Może któregoś dnia chciał sprawdzić, gdzie w końcu znajduje się owo „nigdzie”?

PS Chatwina cytuję według następujących wydań: *Co ja tu robię?*, przeł. P. Lipszyc, PIW, Warszawa 2006; *W Patagonii*, przeł. R. Ginalski, Świat Książki, Warszawa 2007; *Wicekról Ouidah*, przeł. P. Lipszyc, Świat Książki, Warszawa 2007; *Pieśni Stworzenia*, przeł. K. Puławski, Świat Książki, Warszawa 2008. *Dziadka do orzechów* E.T.A. Hoffmann cytuję według: tegoż *Bracia Serafiońscy*, przeł. J. Kramsztyk, Czytelnik, Warszawa 1960.

Abstract

Izabela JAROSIŃSKA
Unaffiliated Researcher

My Chatwin. On 20th Anniversary of Bruce Chatwin's Death

Some personal remarks on the works of Bruce Chatwin (1940-1989).